

Przyjaciel Ludu.

Rok piąty.

No. 5.

Leszno, dnia 4. Sierpnia 1838.



12
i
13

Kościół Ś. Anny w Krakowie.

Kościół Ś. Anny w Krakowie.

Jeszcze na początku XVgo wieku stał już w tém miejscu kościół ś. Anny starodawniej fundacji, który pozarem w rozruchu r. 1407 spłonął. Zaburzenie to, w czasie którego pospólstwo wielu Żydów, w tej części miasta około kościoła ś. Anny mieszkających, pomordowało, i kilka ulic spaliło się, opisuje Długosz X. p. 186 i M. Bielski list 385. a)

Terazniejsza świątynia nie dawno, gdyż dopiero w końcu XVIIgo wieku postawiona, jest w miejscu dawniej, po owém spaleniu odbudowanej, lecz wiekami opustoszałej, a nawet, jako akademicki kościół, szczupłej na pomieszczenie młodzi, na nabożeństwo uczęszczającej. — Skarbiec akademii, legata dawnych, i składki żyjących na ówczas professorów, niemniej hojne ofiary króla Jana IIIgo i wielu możnych panów, dostarczyły funduszu na budowę gmachu, którego węgielny kamień założył w roku 1689 Jan Małachowski, biskup krak.

Znajdujący się na dworze xcia Stan. Lubomirskiego, marszałka w. kor., niejaki Tylman, w sztuce budowniczej i malarstwie biegły, podał akademikom rysunek kościoła ś. Karóla Bor. w Rzymie, (L. Kosicki p. 16.) do którego oni przydali stósowne odmiany w ten sposób, iż wzór ten ukształcił się na podobieństwo kościoła ś. Jędrzeja delle Valle w Rzymie. Architektem był Franciszek Solari (a fundamentis usque ad tectum architectus. Buchowski ark. J.), a dozorem i kierunkiem fabryki trudnił się x. Sebastyan Piskorski, professor akademii krak. Materiałów budowniczych dostarczyły pobliskie Krakowa miejsca, jakoto: marmuru białego okolice Skały (Grodzisko), szarego Regulice, czarnego łomy Dębniaka, czerwonego Chęciny, gipsu Tonie i Koniusza, kamieni ciosowych na kopułę i słupce do facyaty kościelnej, góry pinczowskie, a ogromne sztuki na kolumny i ich podstawy z Myślenic przywożone były.

Pokryty jest ten gmach, jak i piękna jego kopuła, blachą miedzianą, z nakładu x. Andrzeja Krupeckiego, akad. krak. Dwie wieże z obu stron frontonu kościelnego, również miedzią kosztem x. Jana Rygalskiego, akad. krak., położone b), znacznej mu przydają okazałości. Ozdoby wewnętrzne odpowiadają najdokładniej zewnętrznemu kształtowi. Sklepienie i ściany upięknia złocenie i malowanie ręki Karóla Dankwart, z Nissy, oraz najpracowitsza sztukateria gipsowa, dzieło Baltazara Fontany, rodem z Como; tak dalece, iż utrzymują znawcy, że w tém bogac-

a) O budowie kościoła ś. Anny w r. 1428 przez x. Jana z Wychny (de Wychnin), obacz: *Wiadomość historyczna o kościele akademickim ś. Anny w Krakowie*, pr. Ludwika Kosickiego. R. 1833, 4to, ark. 5. przy program. popisów szkolnych Lyceum ś. Anny.

b) Z nagrobków tutejszego kościoła.

twie ozdób, niemal do zbytku posuniómem, dobry smak widocznie obrażony został.

W kościele tym, prócz wielkiego ołtarza, fundowanego kosztem x. Krzysztofa Sowińskiego, w którym jest piękny obraz ś. Anny, pendzla Jerzego Eleutera, malarza nadwornego króla Jana III., znajduje się innych ołtarzów dziewięć; a najpiękniejszy przyozdabia kaplicę ś. Jana Kantego, doktora w piśmie ś. i profesora akademii krak., zmarłego roku 1473. Na nim spoczywa ciało tego świętego w trumnie marmurowej, którą cztery osoby w togach akademickich, wyobrażające doktorów czterech umiejętności, na barkach unoszą. Po bokach stoją szczególniej piękności 4 kolumny spiralne z białego krajowego marmuru (z Grodziska), w jednostajnej sztuce, każda do 14 łokci wysokości, zrobione przez Jana Liszkiewicza c). Lecz równie godnym widzenia jest ołtarz w kaplicy Niepokal. poczęcia N. Panny, dla bardzo pięknych dwóch kolumn roboty mozaikowej. d)

W naszych dopiero czasach uczczoną tu została pamięć nieśmiertelnego Mikołaja Kopernika, ucznia akad. krak., pomnikiem, który mu własnym pomysłem i kosztem w roku 1823 wystawił ś. p. x. Sebastyan Sierakowski, proboszcz katedr. krak. — Urania, muza astronomii, uwieńcza skronie wiekopomnego reformatora nauki o niebie; a napis: *Sta Sol, ne moveare!*, (z ksiąg Jozue X. v. 12), obejmuje tę wielką prawdę, którą on pierwszy światu objawił. Pomnik ten znajduje się po lewej stronie, idąc do wielkiego ołtarza.

W murach świątyni widzieć można wiele nagrobków professorów akad. krak.

Wspomnienia podróży, odbytej roku 1837 przez Annę Nak.....

(Ciąg dalszy.)

IV.

Pielgrzymka do wsławionego miejsca i obraz dwóch bardzo różniących się wieczorów.

Kto w Rzymie papieża, w Londynie Tunelu, w Paryżu wielkiej opery, a w Genewie będąc, Ferney nie zwiedził, ten pewnie, podług mniemania wędrujących współziomków moich, nie wart po Europie podróżować. Ja też nie chcąc uchodzić za nieucywilizowaną podróżną, pomimo

c) Chcącym dokładniejszych o tej świątyni wiadomości, wskazuje się dzieło: *Gloria domini super Templum S. suum, ad solen. Enceniorum primitias Eccl. Coll. S. Annae, ope Div. Providentiae recenter a fundamentis erectae, relucens*, p. Andr. Buchowski. *Crae. typ. Acad. A. 1703.*, in 4to, ark. 13 i dwa drzeworyty: a nadewszystko Ludw. Kosickiego wiadomość, o której wyżej.

d) W ołtarzu ś. Sebastjana jest obraz, malowany przez Pawła Pagani, rodem z Valsoldo, w medyolańskim.

krótkości mojego pobytu w Genewie, poświęciłam jeden poranek na pielgrzymkę do owej literackiego i eleganckiego świata Mekki, gdzie raz będąc, nabiera się przez resztę dni życia swego prawa, powtarzania innym i sobie: byłam w Ferney, zwiedziłam pokój Woltera, i na dowód tego, oto szmatka z firanki jego łóżka; oto główka jego, z gliny fernejskiego ogrodu ulepiona; oto kora z drzewa, własnymi jego rękami zasadzonego; jestem więc zupełnie podług francuzkiego wyrazu en regle i spieszę ten pamiętny poranek przenieść w moje wspomnienia.

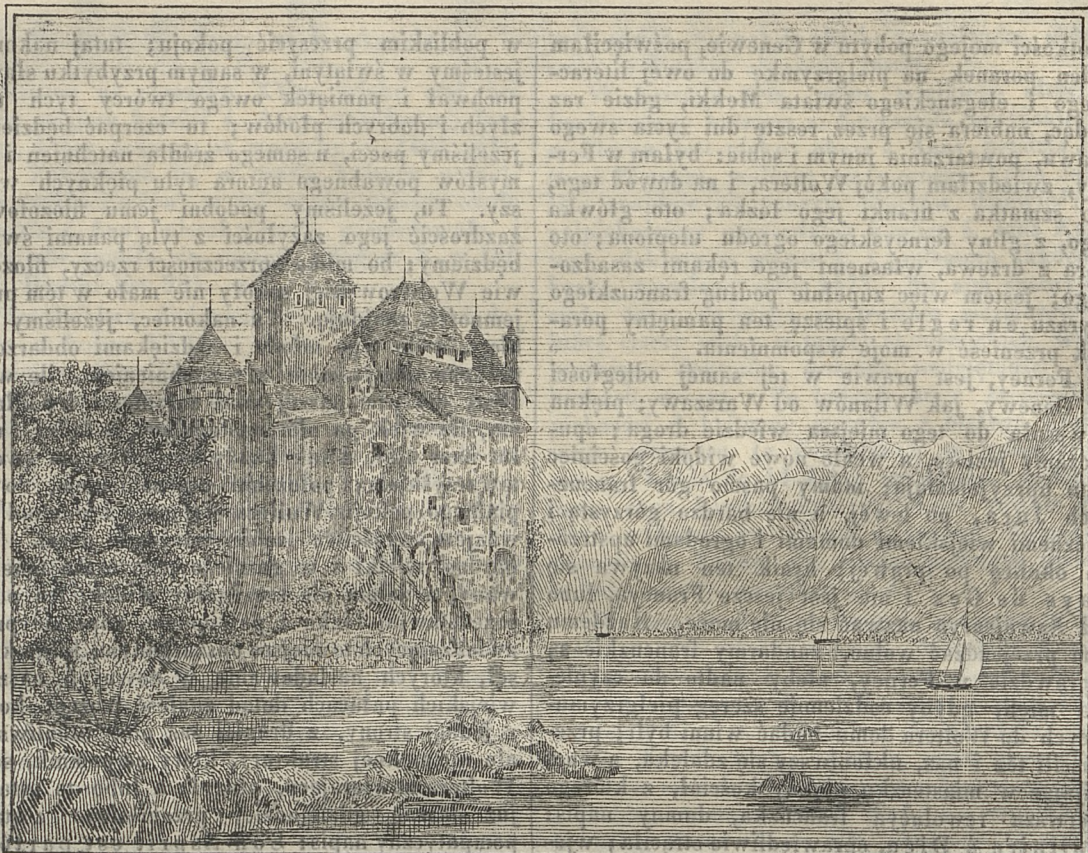
Ferney, jest prawie w tej samej odległości od Genewy, jak Wilanów od Warszawy; piękna i wesoła do tego miejsca wiedzie droga; opuszczamy jezioro, a wcale nowe widoki gościnnie nam uprzyjemniają; mamy pasmo gór francuzkich Jura, po lewą, a nie bardzo górzystą i ślicznymi wiejskimi domami i ogrodami upstrzoną okolicę po prawej; kraik ten nazywa się Pays de Gex i nie jest jeszcze Francją, lubo już Szwajcaryą nazwać się nie może. Każdemu tam przejeżdżać wolno, żandarmy francuzkie są wprawdzie w Ferney, aleby nadto do czynienia mieli, gdyby codziennie szereg pielgrzymujących do Woltera domu badać winni byli; przepuścili też i nas, ukłoniwszy się zdaleka, a wnet mijając w miasteczku piękny kościół, z którego pierwsza rewolucya francuzka, dumny napis: Voltaire a Dieu, sprawiedliwie straciła; wjechalismy w ocienioną szeroką ulicę, do zamku wiodącą, której drzewa rozłożyste, zapewne Wolterowi swego cieniu użyczały.

Dziedzieniec jest mały, kościółek, czyli kaplica nie wielka; dom ogrodnika i inne budowle więcej go jeszcze ścieszają. Dom jest zupełnie podobny do tego pawilonu saskiego pałacu, który się znajdował po lewej ręce, wchodząc na dziedzieniec od krakowskiego przedmieścia, z tą tylko różnicą, że wiezdnęj bramy niema, mury jego nigdy może nieodświeżane, szarą i smutną powierzchnością się odznaczają; dom ten, który już od śmierci Woltera, kilka razy pana zmienił, jest cały przez tegoczesnego dziedzica zajęty; dwa pokoje tylko zachowały pamięć autora Mahometa i Zairy, i te są od pół wieku celem pielgrzymki czytającej Europy, wprowadzając w zachwycenie exaltowanych, w smutne zaś rozmyślanie nad zmienną światowych rzeczy koleją, spokojnie usposobionych podróżnych.

W pierwszym salonie niemasz nic osobliwego, prócz znanego i tyle razy opisanego obrazu, który wystawia Woltera kruszącego wymową i nogami nieprzyjaciół i krytyków swoich; a że filozofowie 18go wieku pobbazania za żadną cnotę nie mieli, nie można się gorszyć z podziwiania ich tego tak miernego malarskiej sztuki płodu. Teraz zaś rzuciwszy okiem na Frerona i jego towarzyszków, pod postacią piekielnych duchów tam przedstawionych, obujętnie każdy przechodzi, spodziewając się swoją ciekawość

w pobliskim przesycić pokoju; tutaj nakoniec jestełmy w świątyni, w samym przybytku sławy, pochwał i pamiętek owego twórcy tych tylu złych i dobrych pbbodów; tu czerpać będziemy, jeżeliłmy poci, u samego źródła natchnień i pomysłów powabnego autora tylu pięknych wierszy. Tu, jeżeliłmy podobni jemu filozofowie, zazdrościć jego zażyłości z tył panami świata będziemy; bo mimo sprzeczności rzeczy, filozofowie Wolterowskiej szkoły nie mało w tém przyłmności znajduję. Tu nakoniec, jeżeliłmy kobiety, a do tego młode i wdziękami obdarzone, przypomniemy sobie z westchnieniem, ile wiek 18sty dla płci naszej miał zalotności i pobbazania, ile wiek po nim następujący, władzy i uroku nam ujął, a tak każdy z właściwem swemu towarzyskiemu położeniu usposobieniem, do sympialnego pokoju Woltera wstępuje i ztamtąd nawzajem właściwe sobie wrażenie unosi. Nie bardzo wielki i w guście owego czasu umeblowany, a zatém nie szczególny widok, ten pokój przedstawia; łóżko z pawilonem, zupełnie przez zwiedzających to miejsce obszarpanym; kilka krzesel, których naśladowanie w dawnych naszych wiejskich pałacach dotąd znaleźć można; komin z jednej strony, z drugiej zaś piec osobliwszej, ale nie pięknej struktury, który za pomnik, serce Woltera zawierający, służył; a lubo to ostatnie już dawno gdzieindziej przeniesione zostało, pompatyczny napis: Son Esprit est partout, mais son coeur est ici, dotąd zachowuje, i obrazy władających wtedy Europą monarchów, obok artysty Lekain, który trajedyom Woltera najwięcej wziętości, tak, jak tamci kieszeni jego najwięcej obszerności i wagi nadali, są główne ozdoby owego pokoju. Ciekawam była widoku z okien, ale ten znalazłam bardzo ścieśniony, przez wysokie szpalery i kryte ulice.

Wyszędłszy z domu, udalimy się do ogrodu, i tam, równie jak w Chillon, owa odzwierna, jakby przed pięciuset laty w nim mieszkająca, tak tu stary ogrodnik, jako mały chłopiec jeszcze Wolterowi usługujący, nas opanował, i odtąd na krok nie odstąpił, pókiłmy nie wyczerpali jego wszystkich dowcipnych i niedowcipnych anekdotek, nie przejrzeli i nie nabyli drobnych po sławnym Wolterze pamiętek; słowem, póki nas znuzonych i przesyconych dowcipem i pyłem przeszłego wieku, do powozów nie powsadzał. Postępując za nim, starym, krytym grabowym szpalerem, wysłuchalimy najród całe przekomarzenie się Woltera z angielskim dziejopisem Gibbonem, którego tu nie powtórzę, bo już to przed dwoma laty rozmaitości jednej z warszawskich gazet zdołbiło, a zatém powszechnie jest znane. Opowiadanie tego starca, było podobnem do śpiewu kanarka, podług nauczającej go pozytywki; ktoś mu tę historyjkę dobrą francuzczyzną napisał, a on ją od lat 40 powtarza. Zyczę szczerze, żeby mu nigdy nie zabrakło powolnych do słuchania jej uszów. Odrecytował nam potem mniej znaną



Widok zamku Chillon. (Obacz opis w przeszłym numerze.)

awanturkę pani de Genlis, która doznała w Ferney, nieprzyjemnego dla kobiety przyjęcia, lubo jako autorka i za doskonałą uchodzić chcąc, mniej na nie zważać powinna była: albowiem ojciec opowiadającego, ówczesny ogrodnik w tém miejscu, przy wstępie jęj do ogrodu, ogromną gałąź na świeży paryzki kapeluszy hrabiny spuścił, pióra na nim powiewające połamał, a nawet, dodał ciszej staruszek, podobno i róż z jęj twarzy szerokie lipowe liście pozmiatały; ostatnia ta okoliczność, dla elegantki zeszłego wieku tyle dotkliwa, odstręczyła autorkę dzieł tyłu od dalszego Ferney zwiedzenia, a pomimo usilnych prośb i nalegań samego gospodarza, jego siostrzenicy, przyjaciół i przyjaciółek domu, zawsze w liczнім gronie, około bożyszczu Francyi i Europy zebranych, nie dała się do dłuższego tam pobytu nakłonić, i nie jadłszy obiadu, do Genewy wróciła. Ta drobnostka, ładnie opowiadana przez naocznego jęj świadka, który, wówczas 10-letni chłopczyca, może się do tego tak nieszcześliwie skutki mającego zdarzenia sam swywolnie przyłożył, dosyć mnie zabawiła; a dalej za naszym przewodnikiem postępując, zawsze między staroświeckimi szpalerami, albo gęstwiną, dawniej u nas pod nazwą dzikiej promienady słynącą, oddaliśmy hołd ogromnemu wiązowi, Woltera ręką zasadzonemu, i wraz z chmurą

młodych niemieckich i francuzkich uczniów, czyli literatów, wspólnie z nami dnia tego Ferney zwiedzających, korę jego chciwie odłamując, zdobyć naszą przed strzeżącym całości jednego ogrodowego zabytku po Wolterze, pilnie ukrywaliśmy. Spoczynek po tak długiej przechadzce, przy południowym upale, był nam koniecznie potrzebny; znaleźliśmy go w domu naszego przewodnika i w napełnionej szanownemi po-Wolterowskiemi gratami izbie. Tam na spruchniałych krzesłach i kulawych stołkach siedząc, oglądaliśmy dowoli jego laskę, perukę, nocną duchenkę, obok zbioru ciekawego pieczętek, który jakby historyczny herbarz tworząc, o wielu istotnie europejskich męża tego stósnunkach poświadczyć może; były one atoli z listów do niego pisanych wycinane i na wielkie arkusze papieru przyklejane; kilka razy znajdujący się tam ciółek, świadczy także o jego piśmiennych stósnunkach z ostatnim królem polskim: znalazłam tam także kilka innych naszych herbów; ale nim ten ciekawy dowód chełpliwości Woltera obejrzeć zdołałam, przedstawił nam ogrodnik jego owe gliniane główki, wiersze i inne drobne na pamiętkę odwiedzin Ferney do nabycia rzeczy, za które kilkanaście franków od nas zebrałszy, a niemając już nic, ani do zbycia, ani do opowiadania, grzeczny ten ostatni po Wolterze ży-



Genewa.

jący zabytek, z uszanowaniem nas do powozu odprowadził; ja zaś ostatni jeszcze raz zadowolioném okiem na owe wstawione miejsce rzuciwszy, powinszowałam sobie, mile w niem przepędzonego poranku.

Trzebaby tu teraz choć w kilku słowach wspomnieć o Genewie; ale cóż ja, przez trzy dni tylko bawiąc, z których jeden poranek w Ferney, a następne po obiedzie za miastem przepędziłam, tam uważać i spozstrzegać mogłam. Ulice tego miasta, na niższe i wyższe dzielącego się, są piękne, osobliwie ta, którą la Coraterie zowią: nie może się jednak, pomimo pochwał jej dawanych, z początkiem naszego krakowskiego przedmieścia, a nawet z nowym światem porównać. Kamienny most, przy wypływie Rodanu z jeziora i wyspa na nim, za publiczny spacer służąca, na której się pomnik J. J. Rousseau znajduje i miłą sprzeczność z pielgrzymką do Ferney tworzy; żelaznym mostem z ładem spojona, bardzo przyjemną przechadzkę, nie lubiącym daleko chodzić, ofiaruje. Sławny hotel de Bergues, więcej jak stem pomieszkań uposażony, i jego schody, aż do najwyższego piętra, zawsze świeżemi kwiatami ubrane i wielką szklaną kopułą z góry oświecone, równie jak inne tego gatunku budynki, na uwagę i pochwałę zasługują. Ale, jak mówię, w przelocie tylko to miasto widziałam; mocniej więc zajmuje mnie wspomnienie

wieczora u dawniej mojej, a mile tu wznwionej znajomości xiężnej....., w nader przyjemny sposób przepędzonego. Towarzystwo składało się z Włoszki, a do tego siostrzenicy Napoleona, z Francuzki, jak mi się zdaje, legitymistki, i z dwóch Polek; Anglik, Zmudzin, Rossyanin i Polak, uzupełnili tę towarzyską mozaikę, której różnorodne pierwiastki harmonijną jednością spojone, zarówno się do uprzyjemnienia tego wieczoru przyłożyły: w salonie, gdzie smak wytwornej Polki z wszelkimi wymysłami cudzoziemskiego łączy się układu, przy pięknym widoku z okien, na śliczny ogród jeziorem zakończony, i owe już tyle razy przezemnie wspomniane Alpy, toczyła się przez godzin kilka nader mnie zajmująca rozmowa. Hrabina C... mówiąc o Napoleonie z pewnym chępliwym przyciskiem, swoim go wujem nazywała; pojmuję bardzo ten gatunek dumy; arystokracja jeniusza, teraz, gdzie się świat na tyle innych dzieli, jest dla dusz wzniosłych, najłatwiejszą do pojęcia i do przebaczenia. Mało, a najwięcej o swoim wuju mówiła hrabina; ale pomimo skąpego jej udzielania się, znalazłam urok w jej towarzystwie; była ona dla mnie razem nowością i wspomnieniem. Wieczór ten przeszedł dla mnie szybko, zostawując w moim umyśle żal szczerzy, że zapewne w życiu mojem ostatni taki i tam dla mnie upływa.

Wcale wprawdzie odmienny, ale także to-

warzyskiej zabawie poświęcony wieczór, przepędziliśmy w Vevay, nazajutrz po naszym powrocie z Genewy. Bogata obywatelka owego pierwszego miasteczka, zaprosiła rodzinę moją i mnie na tydzień wprzód na herbatę do siebie, a tak prawie ze statku wysiadłszy, udaliśmy się do pani R...., gdzie w towarzystwie kilkunastu osób, Vevayczyków i Francuzów, odmiennym wcale od poprzedniego sposobem, wieczór strawiliśmy. Słyszałam wiele o dostatkach tego domu, wystawiałam sobie więc w nim użycie tych dostatków na sposób powszechnie zajęty; znalazłam mieszkanie szlachetne, pokoje bardzo pospolicie umeblowane; salon tylko odznaczał się zbiorem drobnostków kosztownych lub rzadkich, z całego świata tam nagromadzonych. Chińskie wachlarze, amerykańskie pióra i z słoniewej kości wyrabiania, druciane koszyczki, szkatułki różnej wielkości i kształtu, tak tam napełniały nietylko komin, ale stoły i stoliki, że nie było gdzie herbaty zastawić; nie tam też gościnna wspaniałość pani domu dla nas rozwinąć się miała; zaprowadzono nas przez szeroki kurytarz do przyjemnej galeryi, po której kratach pnące się rośliny, swe liście i kwiaty rozaczały, tam znowu widok gór i jeziora, z innego stanowiska uważany, miłe na nas sprawił wrażenie, a całe nasze grono, zasiadłszy na ławkach, ledwie co słiczny widok ogrodu i okolicy z tej wysokości podziwiać zaczęło, kiedy pewny szum, jakby coraz bliżej płynącego potoku, smakowite zastawienie podwieczorka nam zwiastował. Szelest ten, sprawiały szerokie falbany u sukien dwóch hożych dziewcząt (kamerdynerów w spódnicy), z ogromnemi tacami, pełnemi tortów i przysmaków, do galeryi wchodzących. Sprzecznosc modnych sukien i czepeczków, kibić i twarze bardzo miłe, tych dwóch służebnych zdobiąc, z ową usługą u nas jedynie mężczyznom zostawioną, dziwne na mnie wrażenie uczyniło, a nie mogąc się zaraz z nią oswoić, brała mnie chęć, grzecznie uściskać tę, która mi tort, albo talerz podawała, biorąc ją za damę, do towarzystwa należąca. Zwinne służące bardzo jak widać z tym gatunkiem usługi obeznane, i dobrze i z pewnym zajęciem swoje obowiązki wypełniły: a po naszym powrocie do salonu, roznosząc nieustannie frukta i chłodniki, przysłuchiwały się zarazem muzyce, która przez kilku między nami znajdujących się lubowników wykonana, główną naszą wieczorną zabawę stanowiła.

Milionowa ta pani, która tyle amerykańskich nieużyteczności skupuje, niema ani pojazdu, ani koni, dyliżansem podróże odbywa, i zbytek nasz na północy, niesłychanym nazwała, dowiedziawszy się, że ja własnym powozem do Szwajcaryi przybyłam. Co za szczególna sprzecznosc w wyobrażeniach, które sobie w rozmaitych krajach o zbytku przyzwoitości i potrzebach życia robimy!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ojciec i trzech synowie.

(Powieść gminna.)

Żyje jeszcze dziś pewien stary człowiek, który przed kilku laty bardzo był ubogi; miał zaś ten człowiek trzech synów i wyżywić ich nie mógł; zawołał tedy najstarszego i rzekł: „Jestem stary i chory, pracować już nie mogę, idź więc synu w świat na wędrowkę i służ u kogo; a gdy rok minie, powróć z zarobkiem do domu.“

Najstarszy syn usłuchał ojca; wziął tłomoczki z chlebem i powędrował. I wędrował już jeden dzień pod wielką bardzo górą, a kiedy za tę górę zaszedł, zobaczył staruszkę, który pasł owce przy drodze, i staruszek zapytał go: „czy nie za służbą idziesz chłopysiu?“

„A za służbą, staruszkule!“ odpowiedział parobek. „Więc służ u mnie i pilnuj mi tych owiec, aż wrócę,“ rzekł staruszek, oddał parobkowi swoją torbę z maczugą i zniknął.

Parobek wziął torbę i maczugę, pilnował i pasł owce bardzo pilnie, a pasł je już rok cały, ale ten rok minął mu, jak jeden dzień; aż wreszcie, kiedy rok minął, wraca staruszek i przynosi ze sobą mały stoliczek i mówi: „służyłeś mi mój parobku wiernie, za to ci daję ten stolik; wyjdź z nim za górę i powiedz: stoliku, stoliku mój, otwórz się.“

Parobek wziął stolik, wyszedł za górę i powiedział: stoliku, stoliku mój, otwórz się! Ledwo co to wymówił, nakrył się stolik białym obrusem, a na stoliku stał talerz i leżały widelce i nóż, a wszystko było ze srebra; na innych zaś talerzach ze srebra, były najwyborniejsze potrawy.

Parobek nie namyślał się długo, ale zaczął jeść i smakowało mu bardzo, bo był głodny; a kiedy się już najadł do woli, rzekł: stoliku, stoliku mój, zamknij się; tak go bowiem nauczył staruszek. Ledwo co też wymówił, już znowu stolik stał próżny i nic na nim nie było.

Wziął go potem na plecy i szedł dalej, ale noc była blisko, parobek zaś zmęczony długą drogą, wstąpił na nocleg do gospody, która stała przy drodze.

Kiedy do tej gospody wstąpił, zobaczył tam wielu ludzi; bał się więc, aby mu kto stolika nie ukradł i oddał go gospodyni do schowania.

Gospodyni ta, była to już bardzo stara kobieta, więc też była bardzo mądra; tak sobie tedy myślała: dlaczego nosi parobek ze sobą ten stolik? Przecież on nie wart najgorszego mego stołka, bo jest z prostej sosnowej deski, nawet nie malowany? A chociaż to takie ładaco, upominał mnie jednak parobek, abym go dobrze pod klucz schowała? Nie napróżno to! nie! Jest tu jakaś tajemnica!

Tak sobie myślała mądra gospodyni, poszła potem do osobnej komórki i poczęła oglądać stolik z tej i z tej strony, i oglądała go bardzo pilnie. Miał zaś stolik ten szafkę, która była zamknięta, a której mądra kobieta w żaden spo-

sób otworzyć nie mogła, więc rzekła: mój dobry stoliku otwórz mi się sam.

Ledwo co to wymówiła, okrył się stolik białym obrusem, a na stoliku był talerz i widelec i nóż ze srebra i były wyborne potrawy; wszystko, jak pierwsza raza.

Odkryła więc gospodyni tajemnicę stolika, bo była bardzo mądra, ale przy tém bardzo była zła, tak tedy do męża rzekła: stolika tego nie oddamy parobkowi, lecz zrób w nocy podobien stolik i ten mu oddamy.

Mąż jej począł zaraz robić stolik podobny, i robił go przez noc całą, nad ranem zaś skończył.

Kiedy już świtać zaczęło, obudził się parobek i wstał. Gospodyni oddała mu stolik, który mąż jej zrobił w nocy; z nim poszedł dalej i w południe samo stanął w domu swoim, zkąd przed rokiem był wywędrował i zawołał ojca swego i braci, aby im pokazać swój zarobek: myślał bowiem, że to jest ten sam stolik, który sobie u dziada wysłużył, więc rzekł: „Patrzcie, com sobie przez rok służby mojej zarobił. Nie potrzeba wam oddać pracować na kawałek chleba, bo będziemy mieli co jeść i co pić.“

Ojciec i dwaj młodsi bracia myśleli, że zapewne w szufladce stolika są schowane jakie wielkie skarby, ale kiedy ją otworzyli i nic w niej nie było, dziwili się bardzo mowie parobka, który potem rzekł do stolika: stoliku, stoliku mój, otwórz się.

Ale stolik nie nakrył się tą razą i nie było na nim talerzy srebrnych, ani potraw wybornych. Rzekł więc drugi raz i trzeci raz to samo, ale gdy stolik nie nakrył się jednak, porąbał go rozgniewany i spalił.

Więc znowu ojciec miał w domu trzech synów, a był ubogi, wyżywić ich nie mógł; zawołał zatem średniego, któremu było na imię Lampart i rzekł do niego: „Jestem stary i chory, pracować już nie mogę; idź synu w świat na wędrownkę, a po roku wracaj z zarobkiem do domu. Zawsze mi byłeś jedyny, boś też najmędrszy z twych braci; nie daj się więc tak łatwo wygłupić.“

Lampart usłuchał ojca, wziął tłomoczki z chlebem na drogę i powędrował; i wędrował już jeden dzień, pod wielką bardzo górę, a za tą górą zobaczył staruszkę, który pasł owce przy drodze, i ten staruszek zapytał go także, czy idzie w służbę, i urządził Lamparta za owczarka, oddał mu torbę; maczugę i zniknął.

Lampart pasł przez rok cały, ale ten rok minął mu, jak jeden dzień; po roku zaś wrócił staruszek i przyniósł ze sobą małego baranka, i rzekł: służyłeś mi mój parobku wiernie, za to ci daję tego baranka, wyjdź z nim za górę i powiedz: baranku, baranku mój, otrząśnij się.“

Przypomniał sobie Lampart naukę ojcowską i los starszego brata, nie chciał tedy przystać na takie zasługi; ale staruszek nic nie mówiąc, zniknął; a on bardzo był ciekawy, co się też to

zrobi. Więc wziął baranka i rzekł za górę: baranku, baranku mój, otrząśnij się.

Ledwo co to wymówił, otrząsnął się baranek, a z baranka spadła srebrna wełna. Wziął on tę wełnę w torbę, a baranka wziął na plecy i szedł dalej, aż do wieczora. Noclegiem zaś stanął w tej samej gospodzie, gdzie przed rokiem brat jego nocował. Oddał także owę starą gospodyni swego baranka, aby go napasała mlekiem i owsem, i kazała mu w osobnej komorze podostać miękkiego siana, zamknął potem drzwi od tej komory na kłótkę i klucz wziął do siebie.

To dziwito starą gospodynią, rzekła więc do męża: „Nie bez kozery zamknął parobek tak starannie swego baranka, trzeba mi go zobaczyć.“

Potem poszli do sklepu, zkąd małemi drzwiczkami wcisnęli się do komory, zamkniętej na kłótkę. Baranek tak się w siano zagrzebał, że go ledwie znaleźli; potem oglądała go gospodyni z tej i z tej strony, ale nie mogła obejrzeć dobrze wełny jego, bo się na niej bardzo wiele siana pozawieszało, więc rzekła: „kiedyś się w siano zagrzebał, tobyś się mógł z niego otrząsnąć baranku mój.“

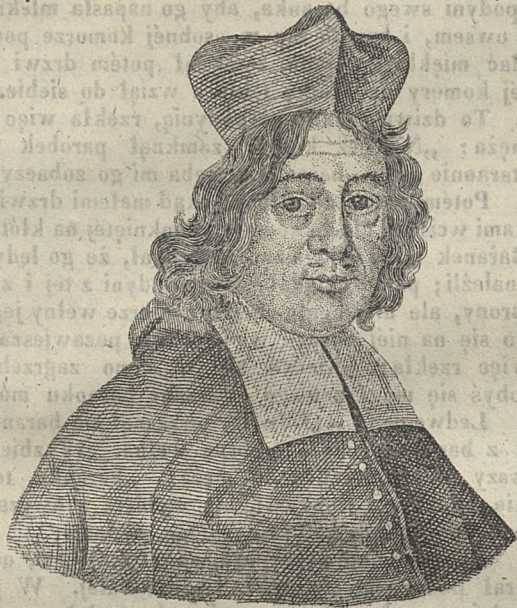
Ledwo co to wymówiła, otrząsnął się baranek, a z baranka spadła srebrna wełna. Wyzbięrawszy srebro, rzekła do męża: „baranka tego nie oddamy parobkowi, ale wybierz z owczarni podobnego baranka, którego mu oddamy.“

Kiedy świtać zaczynało, wstał Lampart, odebrał podobnego baranka i szedł dalej. W południe stanął w domu swoim, i zwołał wszystkie domownicy i rzekł: „Oto patrzcie, co wysłużyłem sobie przez rok służby mojej! Już nam teraz nie potrzeba pracować na panów, bo sami panami będziemy.“

Podniósł potem baranka na stół i rzekł: baranku, baranku mój otrząśnij się. Ale tą razą nie otrząsnął się baranek i nie spadła z niego srebrna wełna; rzekł więc drugi i trzeci raz to samo, napróżno jednak. Zartowali i śmiali się z niego wszyscy, a on rozgniewany zabił baranka.

Więc znowu miał ojciec w domu trzech synów, których wyżywić nie mógł; ostatniego jednak nie myślał w świat wyprawić, bo mu się zdało, że ten trzeci był najgłupszy z jego synów. W całej okolicy nie zwano go inaczej, tylko Gawron, dla tego, że nie umiał tańczyć, ani drózbować po weselach. Więc tego Gawrona nie chciał stary ojciec wysłać na wędrownkę, ale on widział i czuł biedę, która się w domu rozgościła, a ojca swojego kochał bardzo; nie chciał też, aby na stare lata głód i niedostatek cierpiał. Cichaczem tedy nabrał w tłomoczek chleba i powędrował; i wędrował także za ową górę, gdzie przy drodze pasł owce staruszek; u niego przyjął służbę, podobnie jak bracia, i pilnował gromady przez rok cały. Po roku wrócił znowu staruszek i przyniósł ze sobą miech podarty, i rzekł: „służyłeś mi mój parobku wiernie, za to ci daję ten miech. Jak wyjdiesz za górę, to powiedz: mieszkowi, mieszkowi mój, odwiąż się.“

Gdy to Gawron wyrzekł za górami, miech się odwiązał, a z miecha wypadły dwa dębowe kije i były na około, aż ziemia jęczała. Parobek przestraszony, kazał im co tchu się schować. Szedł potem do wieczora, a na nocleg stanął w tej samej gospodzie, gdzie była mądra gospodyni, i rzekł do niej: „schowajcie mi gosposiu ten mieczek pod kluczem, bo mam w nim wielkie skarby.“



Michał Radziejowski.

Pomiarkowała od razu gosposia, że nie bez kózery kazano jej schować to stare mieszkisko. Nie trudno jej także było odkryć tajemnicze słowa, bo się już wprawiała na stoliku i baranku; ale tą razą pożałowała swojej mądrości. Skoro bowiem wyrzekła: mieszkuj, mieszkuj mój, odwiąż się, wypadły z miecha dwa kije i były babę nielitościwie: z bólu i strachu zapomniała rozkazać, aby się napowrót schowały; więc biją owe kije mądram, lecz złą kobietę, a mądram, lecz złą kobietę, całym gardłem woła ratunku. Na ten krzyk obudzili się Gawron i wbiegł do komory. Już od dwóch lat nie wolno było nikomu do niej zajązierać, bo tam było schowanie stolika i baranka. Poznał Gawron rzeczy braci swoich od razu i dorozumiał się podstępny; zawołał tedy:

Niech kij każdy babę stecze,

Póki krew z niej nie pociecze.

Gosposia w modły: „Mój chłopysiu zmiluj się! oddam wszystko, powiem wszystko, tylko się zmiluj nademną!“. Więc Gawron rzekł: „Kije w miech!“. Potem odebrał skradzione rzeczy swych braci, bo gospodyni się przyznała z bólu do wszystkiego.

Już też świtać zaczęło; Gawron zabrał się w dalszą drogę i przyszedł do domu swego koło południa, kiedy wszyscy za stołem siedzieli.

Dwaj bracia widząc stolik i baranka, zeskoczyli z ław i każdy chwycił za swoje; wtém kije z miecha wypadły. Struchleli wszyscy, a Gawron dopiero zaczął rozpowiadać, jak się to stało, i tak zakończył: „Nie do was bracia, należy stolik i baranek, ale do mnie. Mogę nimi rozrządzać do woli i tak rozrządzam, aby nam

wszystkim jednako służyły; co moje, to wasze; co wasze, to moje. Czy przystajecie na to tatusiu?“ — „Przystajemy, przystajemy!“ zawolali wszyscy; i odąd poczyna się ich szczęście!

Baranka wziął stary ojciec do swojej zarodowej ovczarni i dochował się z niego pięknej gromady; miech powieszono w stodole, a kije wymłacają wszelkie zboże. Stolik zaś ustawiony w dużej izbie, a za stolikiem siedzą goście dniami i nocą i dobrze się mają, bo nigdy na wybornych potrawach nie zbywa i nigdy podniebienie im nie schnie. Mnie także jeszcze nie uszło, bo dopiero, co z tej biesiady wróciłem!

Michał Radziejowski.

Michał Radziejowski, dawniej biskup warmiński, a w r. 1686 przez Innocentego XI. kardynałem mianowany i wnet wyniesiony na godność prymasa polskiego, w czasach następných bezkrólewów, pośród burzliwych zamieszek krajowych, sprawując władzę najwyższą w narodzie, miał na pieczy jego swobody, ani chciał przewidzieć, w zaślepieniu swoim, jak smutnemu skutkowi własnej przewrotności poda w niebezpieczeństwo szkolatany naród i sobie marny koniec zgotuje. Kuszony pychą, chciwością miotany, z utratą sławy pocziwój, gonił tylko za złotem i swym osobistym widokom dogadzał, coraz komu innemu wierne obiecując służby. Po śmierci Jana III., jako bliski i wdzięczny za wyniesienie swoje krewny, oświadczył wprawdzie dobre swe chęci ku domowi Sobieskich, ale wnet przewichnąwszy się na stronę francuzką, która do tronu polskiego zalecała xięcia Franciszka Ludwika de Conti, pociągnął za sobą wielu przyjaciół domu Sobieskich i tak swoje stronnictwo wzmoenił, że podczas elekcyi (26 Czerw. 1697) przynosząca ilość głosów padła na stronę Francuza, a mało się za elektorem saskim, Fryderykiem Augustem i J. Sobieskim odezwało. Gdy jednak żadna strona ustąpić nie chciała, po różnych a daremnych usiłowaniach przywrócenia zgody, mianował Radziejowski x. de Conti królem i wzięwszy gwałtem klucze do kościoła ś. Jana, wszedł i w obecności kilku tylko senatorów zaintronował hymn: „Ciebie Boże etc.“. Na koniec jednak przemogła strona elektora saskiego, i już go był ukoronował biskup kujawski, kiedy x. de Conti przyplął na zwiady do Gdańska; lecz posłyszawszy, co się w Polsce dzieje, wołał co prędzej wrócić do domu, niżli się tutaj korony dobić. Opuszczeniem prymasowi ofiarował August znaczną summę pieniędzy, by tylko jego przyjaźń pozyskać, który też po długich wymówkach, po różnych targach i wybiegach, uznał nareszcie Augusta II., na zjeździe w Łowiczu, za pana, i potem w Warszawie, z ostatkiem stronników przeciwnych królowi, zaprzysiął mu wierność. W kilka lat później, gdy August zaprzyjaźniwszy się z carem Piotrem, przedsięwziął nieszcześliwą wojnę ze Szwedami, dla odebrania Inflant, Karól XII. zniósł Rosyjan pod Narwą i obrócił śmiało swój oręż na Sasów, widząc powszechne ku nim zniechęcenie, wewnętrzną Litwę niezgodę i nieszczerłość prymasa Radziejowskiego. Jakoż wnet po całej Polsce rozszerzywszy wojnę, postanowił detronizować Augusta i ku temu celowi użył związku, który wtędy uczyniło było województwo poznańskie i kaliskie, przeciw dalszemu niszczeniu kraju. Do niego przystąpił zaraz prymas Radziejowski i bezkrólewie ogłosili; a nie mogąc już x. Conti, chciał przynajmniej znowu J. Sobieskiego w tej zamieszce na tronie posadzić. Wtém rozeszła się pogłoska o uwięzieniu przez partyę Augusta, Jakóba i Konstantego, królewiczów polskich, w Saxonii, co prymasowi bardzo dogodnym było do ohydzenia zrzuczonego króla Sasa przed Karolem. Z wiadomością tą posłano do króla szwedzkiego Stanisława Leszczyńskiego, wojew. poznań., którego Karól z pierwszego widzenia, tak, na nieszczeście prymasa, upodobał sobie, że tylko jego a nie innego na tron polski wynieść postanowił. Jakoż w nieobecności niechętnego prymasa obrano go królem, lecz w 9 dni po koronacyi Stanisława, prym. Radziejowski, krótko chorując, umarł w Gdańsku 13 Paźdz. 1705.